PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 8. *Warszawa, 21 lutego 1914.* Widok 3.

L. BRUNN.

Niespodziewany — ferwor.

W zeszłym tygodniu zaszły pewne zmiany w składzie osobistym jednostek, wysuniętych na czoło systemu, który działa w granicach państwa rosyjskiego: prezesem rady ministrów został — podobno nienadługo — p. Goremykin, a śmierć warszawskiego generał-gubernatora opróżniła wakans na Zamku, gdzie generał Skałon gościł od lat dziewięciu.

Z tego powodu rozległ się ze szpalt organów, hołdujących «trzeźwej» i «realnej» polityce zdumiewający w naiwności swej a niespodziewany chór pochlebstw.

Ludzie, stojący na czele poważnych odłamów opinji, działacze wytrawni i dostatecznie chyba otrzaskani z warunkami naszego życia — rozpisali się długo i szeroko, nie bez pewnego nawet liryzmu, o przymiotach osobistych zeszłych z widowni dostojników.

Żadne doświadczenia, rozczarowania i zawody nie przekonały raz na zawsze dziecinnych mimo dojrzałego wieku koryfeuszów naszej opinji, że poglądy osobiste i osobiste zalety czy wady osób wysuniętych na różne wysokie stanowiska — mają bardzo niewielki wpływ na losy kraju i przebieg wydarzeń dziejowych...

Wszakże, pośród sążnistych dytyrambów, zaznacza *Gazeta Warszawska*, że p. Kokowcow był przeciwnikiem rugów na kolei wiedeńskiej, a jednak rugi miały miejsce: premjer nie mógł nic na to poradzić.. Był również p. Kokowcow zwolennikiem języka polskiego w samorządzie — i notabene uzasadniał swoje stanowisko w sposób, dla nas wręcz upokarzający — a przecież nie wpłynęło to wcale na decyzję Rady Państwa i przyszłe losy samorządu... Generał zaś Skałon, jak twierdzi «Słowo», był podobno przeciwnikiem oddzielenia Chełmszczyzny i rusyfikacji samorządu: stanowisko jego wcale nie zaważyło na szali...

Skoro więc ludzie, stojący na czele poważnych organów prasy, zapełniają całe szpalty ferworem równie naiwnym jak niedorzecznym — wyrażając się najłagodniej — na temat różnych dostojników i rozpisują się z lubością o ich domniemanych sympatjach i antypatjach, tudzież pewnych zaletach umysłu czy charakteru — wypada stwierdzić po raz niewiadomo który, że stoją ci koryfeusze opinji poniżej przeciętnego jej poziomu, bowiem ogół u nas nie żywi żadnych złudzeń ani nadziei, tak bezmyślnie wiązanych z każdą zmianą na wyższych stanowiskach, ani też nie podziela obaw i przewidywań ujemnych, kojarzonych z nadejściem innych znowuż osób, świeżo na te stanowiska mianowanych.

Wiedziony trafnym instynktem i powodowany tą godnością ducha, której niestety coraz mniej widzimy nawet w naczelnych organach naszej prasy — ogół dostrzega, poprzez głowy zmieniających się dostojników państwowych, wiecznie jednakowy system i z nim się jedynie liczy.

ORION.

Echa Prawdy.

I. O co się kłócą? — II. «Żyd w beczce» i jego czyny. III. Posępny wniosek.

I. Między «Gazetą Warszawską» a «Słowem» od dwóch tygodni toczy się zacięty spór. Niech tylko nikt nie sądzi, że istnieje między nimi jakiś przedmiot sporu. Gdzież tam! Endecji chodzi poprostu o wywołanie wrzawy, któraby na czas pewien pochłonęła uwagę ogółu.

Jak wiadomo, Endecja przyciśnięta przez nas do muru, przyznać się musiała do... maczania rąk w Skarbie Narodowym. Strwoniła, jak sama powiada, 20 tysięcy franków. Świadomi rzeczy twierdzą, że strwoniono cokolwiek więcej, ale... mniejsza o zdanie pesymistów: ogół zwrócił się do Endecji z kategorycznym żądaniem natychmiastowego oddania zagrabionej sumy. Endecji jednak nie sporo idzie spłata. Ogół żąda zwrotu «skarbowych» pieniędzy, Endecja tymczasem udaje strasznie zajętą. Miast zabrać się do wynalezienia pieniędzy, wynajduje... masonów w Polsce.

— Polska opanowana przez masonów! Szukajmy masonów! Tropmy masonów! Najwięksi wrogowie nasi to — masoni.

Ano, wybieg dobry jak każdy inny. Ażeby «sztuczkę» urozmaicić, rzucono podejrzenie figlarne, iż gniazdo masonerji leży nie gdzieindziej, tylko właśnie w obozie realistów, a więc w obozie, na którym wspiera się katolicyzm, z arcybiskupem warszawskim włącznie.

Co najdziwniejsza jednak, że realiści dali się wziąć na fundusz, serjo zakłopotani jęli przetrząsać swe apartamenty, pałace i przedsionki, w obawie, czy im jakiegoś «masona» nie podrzucono, niby egzemplarz niecenzuralny, ażeby cały obóz zniesławić.

Zaglądano tedy pod łóżka, patrzano za szafy, sięgano za piece, wywracano podszewki od palt: czy się tam jaki «mason» nie ukrył. Ale nie znaleziono nic podejrzanego.

Endecja jednak nie przestała trąbić: «Masoni, masoni, masoooooni»!

— Lecz gdzie? gdzież są? na Boga powiedzcie gdzie jest ta plama, abyśmy mogli ją wywabić... — błagają realiści.

— Nie możecie ich znaleść? Ha, widać kiepsko szukacie. Lecz zrewidujcie umarłych!

I biedni, strachem ogłupiali realiści już szli na cmentarz, już chcieli ekshumować swoich nieboszczyków, aby dać świadectwo ich niewinności, gdy nagle powstrzymał wszystkich p. Kosiakiewicz:

— Stójcie! stójcie. Nie potrzebujemy chodzić na cmentarz. Poco trupów szukać aż w grobach? Endecja żartuje. Jeżeli w każdym trupie jest ugodowiec, to i w każdym ugodowcu napewno jest pół trupa. Endecja w ten sposób nas tylko... komplimentuje. Chce ona powiedzieć, że masoni należą do ugodowców, bo są nieboszczykami. Trupy nieboszczyków, istotnie, toć najdoskonalsi ugodowcy: godzą się z gniciem; godzą się już ze wszystkim. Widzicie zatym, że to, co się zdawało pogróżką, to — tylko utajona pochwała dla nas.

Realiści odsapnęli. Wstąpił w nich duch na nowo, skoro się przekonali, że mają w Endecji druhów.

My jednak, ze swej strony, przewidujemy, iż Endecja mieć będzie jeszcze wiele kwestji, podobnych co powyższa, do przedstawienia ogółowi, by zamaskować swe nadużycia.

Na porządku dziennym dyskusji, przeznaczonych do rychłego wszczęcia na łamach *Gazety Warszawskiej*, jak słyszeliśmy, stoją następujące tematy:

1) Statystyka używalności szaletów miejskich, w liczbach uwzględniających pory dnia, płeć tudzież narodowość klienteli. (Przyczynek do badania kwestji żydowskiej metodą poglądową, refer. p. Dmowski).

2) Udział dymisjowanych generałów na weselach i ślubach, jako metoda militaryzacji społeczeństwa na podstawach pacyfizmu. (Ref. p. Kozicki).

3) Rzeczy niepodpadające pod zmysły, jako podstawa polityki realnej dla Koła Polskiego w Dumie. (Ref. pan Balicki).

Oto zagadnienia, których rozwinięciem pilnym zajmie się prawdopodobnie Endecja, skoro tylko wyczerpie niesłychanie palącą kwestję: ile nieboszczyków liczy masonerja w Polsce.

II. Kornel Makuszyński skreślił w jednym z miesięczników barwną sylwetkę Ludwika Solskiego, który przeróżne przeżywał koleje, zanim zajął dzisiejsze wybitne stanowisko.

Onymi czasy, kiedy kromka chleba i szklanka herbaty starczyła nieraz za wikt całodzienny, rzekł do Solskiego pan Anastazy Trapszo, założyciel wielkiej dynastji aktorskiej, a wtedy dyrektor trupy prowincjonalnej:

— Dobry chłop jesteś — jedźże ze mną do Łodzi. Dostaniesz miesięcznie 20 rubli.

Wpadł na to w szał pan Ludwik Solski i ujrzał niebo, zupełnie tak, jakby już zjadł obiad. Pocałował Trapszę w ramię i pożywił się radością.

Niestety, radość trwała krótko...

Trapszo bowiem ośmielił się zagrać w Łodzi «Żyda w beczce», popularne wówczas widowisko z Solskim w roli tytułowej. Za ośmieszenie żyda, zniszczono Trapszę; bojkotowano go małpio zawzięcie tak, że wreszcie Trapszo schronił

się ze swym teatrem najpierw do Częstochowy, potym do Piotrkowa, wszędzie jednakże szły sztafety, nakazujące bojkot biednego Trapszy.

Coraz z nim było gorzej i w teatrze coraz smutniej. Poczciwe aktory, widząc kłopoty ukochanego swego dyrektora, zrzekły się solidarnie gaży, myśląc, że letni pobyt w Warszawie wszystko naprawi.

Osiadł więc Trapszo w Warszawie w teatrzyku *Arkadja* przy ul. Królewskiej, ale nowe depesze nakazały żydom, zamieszkującym gęsto dzielnice Grzybowa, omijać sumiennie teatr Trapszy, tak że cztery miesiące tego pobytu zrujnowały Trapszę ostatecznie. Solski w tych czasach dostał za cztery miesiące dwadzieścia cztery ruble gaży: całemi dniami wałęsał się głodny, ledwo trzymając się na nogach...

Tak mścił się «lud wybrany» za jakiś niewinny wodewil; tak działał sprawnie i bezwzględnie żydowski *system bojkotowy* w czasach, gdy o bojkocie żydów przez Polaków mowy jeszcze nie było, w okresie najczulszej sielanki asymilacyjnej...

Od tego czasu wzrósł potężnie nastrój bojowy Izraela, który, karząc srogo za obrazę swego majestatu, rozsyła mściwe sztafety już nie po miastach i miasteczkach naszego kraju, lecz po całej Rosji, po wszystkich krajach Europy, a nawet — po wszystkich częściach świata. I nie poprzestaje już na biernym bojkocie: doświadczył tego na sobie Paderewski, oplątany w podróży swej po Stanach Zjednoczonych siecią mściwej a niewidzialnej maffji, która, jak słychać z depesz, dybiąc na życie znakomitego pianisty, doprowadziła go niemal do utraty zmysłów.

Oto dwa przykłady, ilustrujące, na przestrzeni trzydziestu lat, postawę ludu wybranego względem każdego artysty, który poważył się targnąć tak lub inaczej na majestat «Żyda w beczce» — najczujniej i najzazdrośniej na świecie strzeżony majestat.

Na nic wówczas genjusz artysty, na ni urok muzyki, która według słynnej legiendy, kamienie pono wzrusza i dzikie bestje uśmierza..

Draśnięty w próżności lub zagrożony w interesach Żyd będzie od granitu twardszy i sroższy od tygrysa.

Żaden go artyzm nie przejedna, żadna muzyka nie wzruszy. Nieludzka nieczułość Żydów na wszelkie dzieła sztuki «strefnionej» w ich mniemaniu duchem antysemickim — świadczy dobitniej niż miljon przykładów, że tam na gruzach duszy ludzkiej rozgościł się już tylko — czujny i srogi instynkt plemienny.

III. Nad istotą tych dość groteskowych utrapień, które w zaraniu karjery scenicznej ścigały Ludwika Solskiego wespół z Anastazym Trapszą — warto się poważniej zastanowić.

Bo tragi komiczny epizod z «Żydem w beczce» rzuca snop jaskrawego światła na niesłychaną, wręcz trudną do wiary zależność polskich artystów od — niepolskiego ich otoczenia.

Gdzież była polska publiczność wówczas, kiedy jeden z teatrów naszych ginął pod mściwymi ciosami maffji starozakonnej?

A gdzie są te cztery miljony Polaków amerykańskich, rozporządzających potężnymi związkami, poczytną prasą, ba! nawet całymi pułkami «własnego» wojska — skoro miljon żargonowych żydów śmie, bez najmniejszych przeszkód, napastować, szykanować i nękać sławnego naszego rodaka?...

Z bezbronności Anastazego Trapszy wobec bojkotu ze strony żydów w stolicy polskiego nibyto kraju, z bezbronności Ignacego Paderewskiego, wydanego na żer mściwej i rozpasanej tłuszczy amerykańskich żydów—zdaje się wypływać posępny wniosek, że dopóki naród polski nie będzie dostatecznie *uruchomiony* pod względem swej kultury i samowiedzy — nasi najsłynniejsi artyści — aktorzy, pisarze, muzycy — liczyć się muszą przedewszystkiem z żydostwem, a potem dopiero — ze swojem własnem społeczeństwem.

Skry.

Większe posiada znaczenie — dla rozwoju ducha ludzkiego — głoszenie nowego kłamstwa, niż powtarzanie starej prawdy,

***

Potęgować wszelkie zmysły czucia aż do przekrwienia, aż do szału wrażliwości: oto cel wszystkich gałęzi twórczości artystycznej, w ich postaci czystej.

Świat ogarnąć, w jednej błyskawicowej halucynacji; chłonąc go i pić, aż do samego dna, każdym zmysłem zosobna!...

***

Memento.

Stwarzać w sobie coraz nowe potrzeby — elegancji, komfortu, zbytku — ażeby być zmuszonym do rozwijania coraz bujniejszej energji celem ich zaspokojenia.

***

ARJOS.

Spełnione — „dzieło szatana".

I.

Lwowski sejm był dnia 14 lutego widownią bardzo doniosłego aktu: wskutek świeżo zawartej ugody z Rusinami, jednomyślnie została uchwalona reforma wyborcza w tej samej niemal postaci, w jakiej projektował ją w roku zeszłym były namiestnik, d-r Michał Bobrzyński.

Śmiało powiedzieć można, że nietylko dla Galicji, nękanej dotychczasową rozterką, lecz dla całej myślącej Polski był to dzień radosny; galicyjska gangrena polityczna, jątrzona miałkimi walkami koterji, była niewymownie przykrym widokiem dla tych miljonów stęsknionych spojrzeń, sięgających po przez kordony do jedynej dzielnicy ziem polskich, gdzie mamy względną wolność działania, a przeto ponosić musimy odpowiedzialność za wszystko, co się tam dzieje.

II.

Nieodzownym warunkiem uzdrowienia stosunków galicyjskich była reforma wyborcza, zaś nieodzownym warunkiem tej ostatniej — porozumienie z Rusinami, pokrzywdzonymi w przedstawicielstwie krajowym.

Dopóki tylko interes kraju, a w dalszej za nim perspektywie dobro narodu polskiego, wymagały demokratyzacji Sejmu i polityki pojednawczej wobec Rusinów — zarówno jedną, jak i drugą zwalczały i paraliżowały bez trudu te żywioły, którym nie była na rękę ani demokratyzacja, ani ugoda. Któżby sobie tam, w kołach «wytrawnych» polityków, robił jakieś ceremonje z interesem kraju i dobrem narodu!

Potrójne więc stanęło przymierze w roku zeszłym, pod hasłem bezwzględnej walki z Rusinami, tudzież z «radykalizmem», szczerzącym zęby z poza projektu reformy.

Zwartym, jak jeden mąż, hufcem ruszyli do boju «podolacy», typowy odłam staroszlacheckich żubrów, którzy, niezdolni wyjść poza ciasny zakres czysto kastowych interesów, w słusznych dążeniach Rusinów upatrywali, po-staremu, jeden z tych buntów «hajdamackich», za dobrych czasów uśmierzanych tęgimi razami batoga.

W jednym szeregu z kopalnymi okazami szlachty wschodnio-galicyjskiej kroczył zastęp endecji galicyjskiej, uznającej tylko patrjotyzm opatrzony swoim stemplem i pałającej mściwą nienawiścią do namiestnika d-ra Bobrzyńskiego, który nie chciał pobierać od leaderów endeckich ani lekcji patrjotyzmu, ani nauk trzeźwości politycznej. Duch Sicińskiego z Upity kołatał się pośród tych ludzi, gotowych zwalić, podeptać, zohydzić wszystko, co nie zgadzało się z ubożuchnym światem ich koteryjnych rachub, ambicyjek i animozji...

A z poza tych dwóch korpusów sprzymierzonych wspólną prywatą grzmiała z ambon głębokim basem ciężka artylerja rzymsko-katolickiego kleru, który, jak ongi za Rzpltej, własne i rozległe mając na widoku interesy, dojrzał bystrym okiem i potępił w projekcie namiestnika niemiły kościołowi dogmat «wszechwładztwa ludu» czyli polityki narodowej *świeckiej*.

Tak więc, każde z tych trzech bractw świątobliwych, następując na piersi reformie zbawczej dla kraju, dławiło w niej osobistego swego wroga.

Podolacy — widzieli tam tylko «chama», hardo prostującego grzbiet od wieków smagany.

Endecy — z lękiem i wściekłością spostrzegli tworzenie się i rozrost myśli narodowej, niezależnej od ich widzimisię.

Wreszcie kler pośpieszył zdusić kneblem głos opinji i przypomnieć wiernym, że mają usta po to jedynie, by całować sygnety na pulchnych biskupich palcach.

III.

Taki więc wyłonił się blok różnorodnych żywiołów, spiętych żelazną klamrą wspólnej nienawiści do namiestnika i wspólnych obaw przed zapowiedzianą reformą. Dopóki miał przeciw sobie jedynie stronnictwa i jednostki, ożywione ideą dobra narodowego, blok nie krępował się żadnymi skrupułami.

Wyjaśniali więc katecheci dwunastoletnim dziewczętom w szkole, że reforma wyborcza

jest poprostu «dziełem szatana», zaś jej zwolennicy gorzeć będą w piekle po wieczne czasy.

Biskupie *quos ego!* największą rzuciło konsternację w odłam krakowskich i warszawskich zachowawców, którzy górując kulturą i wyrobieniem politycznym nad obozem podolskich swoich kuzynów, skłaniali się początkowo ku reformie. Widok pastorałów w groźnej zaciśniętych dłoni rychło uśmierzył ich liberalne zapędy.

I byłby sejm lwowski nie na 10 lecz na 100 lat obezwładniony, a kraj pchnięty znów w trujące grzęzawisko zastoju i waśni domowej — gdyby nie zaszło coś, co na trójprzymierze podolsko-endecko-klerykalne podziałało magicznie.

Oto Wiedeń zmarszczył brwi. Z wyżyn szamerowanych mundurów i suto złoconych kołnierzy padło krótkie zlecenie. I blok, tak nieugięty, twardy i butny, dopóki miał do czynienia z istotnymi potrzebami kraju — w jednej chwili zmiękł, spokorniał, roztajał skoro natrafił na austrjacką rację stanu.

Ugoda z Rusinami, wskazana polską potrzebą chwili to — «zdrada narodowa».

Ale też sama ugoda, podyktowana przez wiedeńskie koła miarodajne — jest już «pożądanym faktem». Reforma wyborcza była «dziełem szatana» do tej chwili jedynie, aż nakazała ją ta sama dłoń, która w ziemiach Korony «apostolskiej» wprowadziła przecież przed kilku laty głosowanie powszechne.

Można było warcholić i brykać bezkarnie w polskim zaścianku przy pełnym żłobie — dopóki z Wiednia nie nakazano ciszy pod groźbą — ujęcia obroku.

Z chwilą, gdy wyszło na jaw, że przeciwnicy reformy będą źle widziani we Wiedniu tudzież — *horribile dictu!* — mogą stracić urzędy, łaski, synekury — srogie dawniej tygrysy zamieniły się wnet w stado uległych baranków.

I biskupi, którzy przed pół rokiem miotali klątwy na tych, coby się ważyli głosować nie po ich myśli — obecnie wyjaśniają słodko, z pokornie spuszczonymi oczami, że «nie jest zadaniem biskupów wydawać sądy o roli posłów polskich w sprawie przeprowadzenia obecnego projektu».

I chociaż «obecny projekt» nie różni się niczym od zeszłorocznego, przyznaje dziś nawet *Gazeta Warszawska*, że — «uchwalenie innej reformy było niemożliwe».

Nie przeszkadza to głównemu organowi endecji, gdzie pomieszczono niedawno rewelacje, twierdzące niezbicie o czynnej roli hakaty w jątrzeniu polsko-rusińskiej waśni — widzieć w reformie wyborczej «najlepszego zamknięcia okresu polityki ugodowej i bojaźliwej w stosunku do Rusinów» i — wzywać do nowej z nimi walki.

Wezwanie to rozlegnie się pewnie radosnym echem nad Szprewą i nad Newą... Korespondenci zasię lwowscy, podolskim owiani duchem, biadają, że oto w d. 14 b. m. spełniła się rzecz groźna, brzemienna klęskami.. Nie o narodowe tu chodzi klęski — toć widzą wszyscy, że kraj przybity tyloletnim bezwładem, ruszył się nareszcie, że dzięki ugodzie Polacy zyskali naczelne stanowisko w wiedeńskiej Radzie Państwa, że popłoch padł na nieprzyjaciół naszych ze wschodu i z zachodu: klęska polega na tym, że do nowego sejmu wejdą w mniejszej niż dotąd liczbie — posłowie cenzusowi...

I tu dopiero poleją się łzy rzęsiste z oczu, które z pod niezmrużonych powiek oglądały suchą źrenicą wszystkie narodowe klęski...

Spełniono bo we Lwowie — dzieło szatana!...

CATULLUS. przełożył K. W.

Do Lesbji.

Pytasz Lesbjo, ileż całunków trzeba,
By ich było dosyć mi — nawet nadto...
Tyle, — ile piasku ma Libji gleba
Od Ammona do mauzoleum Batto;
Ile piasku w słońca się żar tam złoci,
Gdzie z pod Cyren ciągną się w dal szuwary,
Ile w nocy gwiazd skrzy się srebrnych kroci,
Podpatrując skrycie miłosne pary, —
Tyle trzeba aż pocałunków! — tyle,
By ugasić twego Katulla szały,
By potracić głowy mogli zoile,
By kumoszki rady nań wprost nie miały!

J. KADEN.

Kronika krakowska.

MAGNACKI ŚLUB.

Funkcjonarjusze policji łażą dokoła w tym osobliwym mieszczańsko-policyjnym «cywilu» i szei szerokiemi łapami rozgartują zziębnięty, szary tłum, co przywarł, przylepił się do świetnych podnóży Marjackiego kościoła. Ani rusz odlepić go stamtąd, czy ukruszyć!

—Nie krzycz pan, «panie starszy» nie krzycz pan — cedzi przez sine wargi Antek krakowski, z rękami w kieszeniach, zgięty, jak sprężyna.

— Proszę się cofnąć! Proszę ustąpić, rozejść się na tamtę stronę!

Ale tłum nie chce. Uparcie przewala się na ręce policjantów, Tuż przy murze waruje drapieżnie czarna dewotka z kosmatą brodawką pod nosem. Dalej baby kraciaste z białymi koszami na plecach, przestronne, nieruchliwe. Szarych krakowskich łyczków co nie miara.

Cofnąć się nie chcą, chcą patrzeć.

Chcą se obejrzeć ten zbytek, co przecie własną krwawicą, podatkiem, pracą, pieniądzem utrzymują...

Chcą se popatrzeć na tę swoją stajenkę, co se ją lud polski, dla swego «widzi mi się» utrzymuje na swej wsi i karmi i tuczy...

Słońce migota po mroźnym Rynku i skrzy w czystych niebieskościach powietrza. Hełmy strażaków srebrne, starodawnym, rzymskim połyskiem lśnią — niby zimne okruchy sławy... Raz wraz przez zbitą ciżbę gawiedzi przeciska się biała irchowa rękawiczka komisarza.

— Hrabia się żeni z hrabianką, chcesz widzieć?

Właśnie z wieży Marjackiej hejnał złocisty wystrzelił i ustał, przerwany,—jakby się złotą radością lazurowe niebo zachłysnęło.

Słychać klaskanie kopyt, solidne, dokładne i rasowe.

Jedzie! Jedzie!!

Tężeją strażaki przy wrotach kościoła... Hełmy rzymskie zrównały się w dwie proste błyskawice. Władza policyjna biega pośpiesznie szarpana na wsze strony. Komisarz wytęża pierś, stemplowaną złotymi guzikami...

Powóz już stanął przed kościołem.

Gęba woźnicy w cylindrze, z owisłymi jak u buldoga policzkami, ani drgnie. Tymczasem strzelec zielony z piórkiem na łbie daje z kozła na bruk raźnego nurka i wysadza z powozu, niczem z czarnej szuflady, jedną damę po drugiej.

Znów powóz i znów to samo.

Rasowe, groźne, końskie głowy... Wymięte jak stary banknot, wyświechtane twarze panów. Panie w futrach, w drogim pierzu i puchu różnokolorowe, strojne, niby z liściem sałaty, potworną truskawką, marchwią, czy perłowym selerem na głowie. Te nieme kukiełki fagas z czarnych pudeł-trumienek raz wraz wyciąga i odstawia ku drzwiom kościoła.

Zaś wiejskie baby, w tłumie stojące, patrzą, i cenią to wszystko—jakoś z swojska. Tak dotykają oczyma owo pierze paryskie, jak ręką na targu dotykały pod skrzydłem puch sprzedawanej gęsi czy pantarki.

I znów powozy.

Wysiada polski magnat w delii, z czaplą kitą na głowie, anemiczny i żałośny. Nadjeżdzają kontuszowi utrzymankowie tej oto, zgniecionej u wrót, gawiedzi. Jadą w najętych z remizy landarach, — i w jednokonnej doróżce brudnej telepie się pyszny karmazyn.

Tłum sarka i drwi, bo przecie za szczodre swe pieniądze ma prawo do lepszego widowiska.

Żarzy się fioletowa głębia kościoła, dół jego coraz więcej napełnia się tym barwnym miałem; daleko pod witrażami, jak złote motyle migają błyski świec... Huczy zaparty dech w organach... Sznur powozów odjechał... Tłum garnie się wciąż... Srebrne kaski strażaków chylą się przed naporem jakby bóść miały...

Czekajcie! Czekajcie! Czekajcie!!!

Co stanie się, gdy nagle z tej szarej ciżby wyjdzie Ten, któremu wzniesiono ów tum prastary?! Ten nędzarz najświętszy w porwanej odzieży z rozkrwawionemi dłońmi i z sercem srodze przebitem, wiecznie krwawiącem?!

Czy poda rękę damom? Czy przywita magnatów? Czy też może pierwszemu lepszemu, z tłumu, szewcowi wyrwie pocięgiel i piorunowym głosem zgłuszywszy rozgłośną chwalbę organów — wejdzie z pocięglem do domu swego?!...

Skry.

Nie dająca się dziś wprost pomyśleć, płonąca przeolbrzymia epoka Renesansu miała genjuszów o tak dosadnej manjerze jak Michał Anioł, ale tylko my w dzisiejszym perjodzie drzemki muzaicznej posiadamy znakomitych trzeciorzędnych liryków.

***

Piękne kobiety są jak dzieła sztuki: należą nie do właścicieli, lecz do tych, którzy potrafią na nie spojrzeć.

GROMICZ.

Czy są w Polsce katolicy?

1.

Nazywamy kraj swój krajem katolickim, bo mamy księży katolickich, cmentarze katolickie, poetów katolickich, ogłoszenia katolickie. Ale czy mamy — katolików? Czy są w Polsce katolicy?

Niektórzy twierdzą, że są. Ja twierdzę, że niema. Oczywiście, mówię o katolikach, nie po wierzchu katolicyzmem lakierowanych, ale przejętych nim do głębi. Mówię o katolikach, mających duszę katolicką, myśli katolickie, wyobraźnię katolicką. O katolikach, przysięgających na imię papieża i wszystkich jego tytułów, wszystkich jego nieomylności; przysięgających na imię wszystkich świętych, wszystkich ojców kościoła, dogmatów, katechizmów, ceremonji, kropideł i miejsc, uświęconych cudami. Mam na myśli katolików z jednej bryły wyrąbanych, z jednej idei. Katolików od stóp do głów; od dreszczów piekła aż do ekstazy niebios. Mam na myśli katolików, którzy żyją w kościele, w Chrystusie, w łonie kościoła duchowego, w łonie kościoła materjalnego. Którzy żyją w Chrystusie, albowiem on jest ciałem; którzy w Chrystusie żyją, albowiem on jest duchem. Którzy w Chrystusie utonęli, albowiem on jest ciałem i duchem jednocześnie.

Czy istnieją tacy? Niektórzy mówią, że tacy istnieją. Ja zaś powiadam: niema.

2.

Oto są gatunki katolików, które znam:

I. *Katolicy-bigoci.* Znamy ich wszyscy: najchudszy poślad ludzki, dziobany po zakrystjach przez żarłoczne kapłaństwo. Ich dusze są łożem prokrustowym dla bóstwa. Ich serca są jak skrzynie pełne zleżałej cnoty. Rozpychają się łokciami na nieszporach, kazaniach, sumach, wotywach i pasjach. Pacierze klepią, klepią: ojczenasze, zdrowaśki — zdrowaśki ojczenasze. Wokół tronu bożego chcą być tym, czym są dworzanie u tronu królewskiego: mieszaniną bezwzględnej pokory i nieprawdopodobnej pychy: klęczą przed swoim Panem, ale chcieliby klęczeć na łbach reszty świata. Naogół, góruje między bigotami typ kobiecy; typ suchy, starczy, zawzięty, gotowy ze *świętego* człowieka skórę obłupić... na szkaplerze dla św. bractwa.

II. *Katolicy z nałogu.* Są katolikami, ponieważ katolicyzm odziedziczyli w spadku. Chodzą na mszę, ale nie w każdą niedzielę; spowiadają się, najwyżej raz na rok. Dzielą się święconym jajkiem podczas Wielkiej Nocy, święconym opłatkiem przed Narodzeniem Pana. Do rzeczy obrzędowych, bez różnicy w randze, wliczają: ołtarz, choinkę, biblję, konfesjonał, dziesięcioro i szynkę paschalną. Z księdzem zazwyczaj spotykają się trzykrotnie za życia: przy chrzcie, przy ślubie i przy skonaniu— oraz, po śmierci, raz ostatni, na swoim pogrzebie. Żyją tak samo, jak wszyscy inni: jedzą i piją więcej, niż mogą; kradną, jeśli się da; oszukują, gdy się opłaca: bliźniemu zazdroszczą konia, wołu, samochodu; sięgają po żonę, córkę, siostrę. Prawdę mówią jedynie przez nieuwagę, albo przez wyrachowanie. Nie wierzą, naogół, w piekło; złorzeczą bogom i ich krewnym, urągają się ze świętych; wymyślają na opatrzność, gdy nie świeci słońce, albo gdy przegrywają w ruletę. Tego rodzaju katolicy — a stanowią oni większość przeważającą — pod panowaniem cezarów rzymskich byliby poganami, w Indjach byliby buddystami, w Arabji mahometanami, na Ziemi Ognistej — bałwochwalcami. W Warszawie, co niedziela, w zbitej masie oglądać ich można wzdłuż Nowego Światu, wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia: odbywają „przegląd katolicki", między uroczystą sumą a blizkim obiadem spędzając czas na demonstracjach miłego szyku, swawoli i zadowolenia ze swych cnót.

Jeżeli gatunek pierwszy, katolicy-bigoci, stanowią, rzekłbyś, na obrusie katolickim plamę, to rodzaj drugi stanowi wokół obrusu tegoż frendzlę, strzępiącą się nakształt lekkiego pierza. Pierwsi wessali się weń, jak plama brudu; są nieodłączni od katolicyzmu. Drudzy, natomiast, wiszą u krawędzi katolicyzmu: lada powiew mógłby ich oderwać i ponieść ku innym bogom.

III. *Katolicy-dyplomaci.* Katolicy typu Woltera, który sam w piekło nie wierzył, lecz straszył piekłem lokaja, gdy mu wyciągał cygara. Głoszą oni klasyczne hasło: „Trzeba religję zachować dla ludu". Nie wierzą ani w boga, ani w djabła, mimo to chodzą z książką do nabożeństwa na sumę; uczęszczają nawet na kazania, na rekolekcje, przyjmują rozmaite sakramenta, grają z księżmi w karty, biskupom składają hołdy: wszystko to czynią nie z przekonania, ale dla przykładu... maluczkim. Oczywiście, poza dawaniem przykładu w ten sposób, nie czują żadnych innych zobowiązań wobec „maluczkich". Nie krępują się też bynajmniej w wywoływaniu zgorszenia swoim życiem i postępowaniem.

Do tej kategorji należą konserwatyści tudzież demokraci narodowi, opierający się na rzą-

dach kleru i wyzyskujący wpływy kleru dla swej polityki partyjnej. I ci i tamci pojmują boga w sposób przeciwny pojęciom chrześcjaństwa: stawią go na straży własności, kapitału i przywileju, czyniąc zeń tamę przeciwko uroszczeniom głodnego proletarjatu.

Do tej kategorji również zaliczyć należy przeważną liczbę kapłanów, zwłaszcza plutokratów kapłaństwa.

IV. *Katolicy-przedsiębiorcy.* Świeża hodowla. Czynią z katolicyzmu markę polityczną. Zakładają dzienniki, kooperatywy, kasy oszczędnościowe, szkoły, konwikty, stowarzyszenia, tworząc istną masonerję czarną. Rodzaj bardzo rozpowszechniony we Francji i we Włoszech. U nas w Polsce, zaledwie kiełkuje: duchowieństwo nie czuje się tymczasem jeszcze zniewolone do szukania zarobku poza ołtarzem i zakrystją. Za najwydajniejsze źródło dla siebie wciąż jeszcze uważać może głupotę wiernych: tę strzyże z zupełnym powodzeniem. Niezawodnie jednak źródło to rychło już, wobec rosnącej oświaty, pocznie wysychać. Wówczas — chwila ta nasunie się na nas niepostrzeżenie — zobaczymy, jak księża zaczną zakasywać rękawy, jak, czując pustkę w kościele, porwą się do pracy ekonomicznej, wytwórczej, politycznej i oświatowej, aby odbić dla kościoła z powrotem parafjan, przez życie świeckie pochłoniętych.

Katolicy-przedsiębiorcy, jak wszyscy wogóle katolicy, zwalczają masonerję, wolnomyślicielstwo, radykalizm i socjalizm; ale już nie ze względów wyznaniowo-religijnych: walczą w imię współzawodnictwa. I stawką tej walki jest już nie królestwo niebieskie, ale rynek kapitalistyczny.

V. *Katolicy-moderniści.* Gatunek w Polsce cieplarniany. Należy do rzadkości. Nie znalazł gleby przyjaznej ani w seminarjach i akademjach duchownych, ani w społeczeństwie. By się rozwinąć, musiałby przebić dwie obręcze: obręcz ignorancji oraz obręcz oportunizmu, bardzo szczelnie opasujące kościół katolicki. Ponieważ ruch modernistyczny na Zachodzie albo wręcz został stłumiony, albo doprowadził swych wyznawców do zerwania z kościołem, tedy i u nas trudno mu rokować jakiekolwiek widoki. Możnaby powiedzieć: skonał u nas przed narodzeniem. Bowiem wysiłków, na naszym gruncie podjętych przez ks. Miłkowskiego, Antoniego Szecha, Szandlerowskiego (w poezji) lub Kowalskiego, bądź wreszcie ks. Charszewskiego (w jego fazie młodzieńczej) starczyć mogło zaledwie na... skonanie: nie starczyło na zadatek życia. Zresztą, u samych modernizmu katolickiego podstaw tkwiła pewna sprzeczność wewnętrzna, motyw niezdecydowania i walki, które musiały ruch ten rozsadzić, rozszczepić na drzazgi, rozproszkować i zetrzeć. Moderniści pragnęli pozostać w kościele, wszelako pod warunkiem, że kościół pójdzie tam, gdzie oni zechcą. Pragnęli wierzyć w dogmaty, wszelako pod warunkiem, że się dogmatom odejmie wszelkie znaczenie prawomocne. Pragnęli zachować wiarę w Boga, wszelako pod warunkiem, że się sprowadzi tego Boga w granice formuły abstrakcyjnej, pozbawionej treści. Gotowi byli spełniać obrzędy, pod warunkiem, że obrzędy te, po za estetycznym znaczeniem symbolu, żadnego innego znaczenia mieć nie będą. Powiew modernizmu niewielkie w katolicyzmie polskim poczynił spustoszenia: z kilku księży odarł sutannę, oto cały jego łup. Trwalszym nabytkiem, być może, pozostaną tylko pewne metody szpiegostwa wzajemnego, intryg, podsłuchów i nieufności, jakie między młodszym a starszym pokoleniem kleru się zakradły. Na zachodzie śmiertelną walkę modernistom wydali jezuici. Walka ta nie obfituje w epizody ani bohaterskie, ani budujące.

VI. *Katolicy-patrjoci.* Wierzą w Boga, aby mu przypominać, co winien jest Polakom. Wierzą w Matkę Boską, albowiem ona obroniła Częstochowę. W papieżach widzą zabalsamowanych królów polskich. W biskupach widzą — mumje wojewodów. W arcybiskupie — mumję wielkiego hetmana. Wogóle kościół uważają za niedogasły szczątek państwowości polskiej: za relikwię narodowej przeszłości. Sienkiewicz, Gomulicki, Krechowiecki i Deotyma oddali najtęczowsze farby swej wyobraźni ku podmalowaniu tła dla tej fikcji. Utożsamianie katolicyzmu z polskością, przekuwanie katolicyzmu na pancerz dla polskości, oto filozofji owej korona i zwornik. Jest to filozofja skazana na zagładę, gdyż cały postęp kultury nowoczesnej idzie w kierunku różnicowania religji i narodowości, religji i państwa, religji i etyki. Catolicus i Polonus oddzielą się od siebie, jak oddzieliły się niemniej ściśle ongi ze sobą związane posesionatus i bene natus.

VII. *Katolicy mistycyzujący.* Podobni są z wielu stron do modernistów, lecz nie chcą się wdawać w walki: wolą swe krypty i samotnicze klęczniki. Dla nich wartość ma tylko zatopienie się w Bogu, ekstaza, miłość, tęsknota, pielgrzymka ku miejscu własnej świętości. Pełni trwóg, wątpliwości i niepokojów, nie kładą zbytniego nacisku na dogmaty, lecz o świętych pańskich wyrażają się z uznaniem. Czytują z nabożeństwem mistyków starożytnych; chadzają na msze śpiewane, gdy muzyka bywa dobra, kochają się w malarstwie kościelnym, w kaplicach opuszczonych i w starych śpiewnikach łacińskich. W muszli estetycznej pływają po morzu lenistwa. Bawią się

w dobroczynność, nie wychodząc z granic przezornej oszczędności: zimni są w głębi, jak faryzeusze. Uwielbiają nieustannie św. Franciszka, aby móc potym gromy ciskać na rzeczy, o których nie mają wyobrażenia. Są tak nieskazitelni, że bliźniemu nie wybaczają najmniejszego grzechu. Kobieta napawa ich tak wielką zgrozą, że rujnują sobie zdrowie nadmiarem uciech pustelniczych. Żenią się rzadko, lecz zawsze biorą panny pobożne i posażne. Jestto obóz, liczebnie, niewielki, lecz paruje dokoła siebie kłębami mgieł literackich, mieniących się olbrzymią skalę barw: od gienjalnej grafomanji aż do filozofującego szału. (Miciński—Lutosławski) Na tych mgłach rysuje się od czasu do czasu niby na ekranie kinematograficznym, wizerunek Polski upragnionej: Polski nierzeczywistej, ale, jak mówi Kaden, nadskalnej, borealnej, Polski nie z tego świata.

VIII. *Katolicy drapieżnicy.* Nieprzejednani—w rozprawach — i napastliwi o wiele więcej, niżby to z ich wiary wypadało. Naogół są to fanatyczni obrońcy katolicyzmu, narodzeni z jego fanatycznych wrogów, i jak zwykle neofici, popadający w przeciwną ostateczność. Sądząc z ich słów, przyjmują, aprobują i wielbią katolicyzm w całej jego fantastyczności: przyjmują *index librorum prohibitorum,* przyjmują władzę doczesną papieża, władzę wieczną papieża, przyjmują jego nieomylność na ziemi i na niebie. Korzystają z wolności, aby szerzyć reakcję. Rzeczy sprośne zwalczają za pomocą słów jeszcze sprośniejszych. Miłość głoszą z pianą na ustach. Aby czuć, że kochają Chrystusa, muszą grzesznika przypiekać na ogniu. Perłę miłości dla Boga wynoszą z głębin nienawiści dla całego świata. Czystość swej wiary wynagradzają sobie brudem swych uczynków. Nie cofają się przed oszczerstwem, cudzołóztwem, zawiścią i zemstą. Atoli najwyższa wściekłość ogarnia ich wtenczas, gdy ujrzą, że ktoś inny żyje uczciwiej, myśli prawiej lub pisze oryginalniej. Zioną dymem i siarką przeciwko ludziom szczerym, zwłaszcza gdy ci na lep ich szczerości się nie biorą.

Ten rodzaj nieprzejednańców katolickich, na końcu szponów niosący światu ewangielję miłości, wywodzi ród swój z Francji, gdzie świetnymi zasłynął nazwiskami. Należą doń: Joseph de Maistre, Barbey d'Aurevilly, Leon Bloy, Veuillot. Niektórzy z nich mają sławę wybornych stylistów: są kunstmistrzami w słownych turniejach, na których miast krwi, żółć i piana kipi w zapaśnikach. W Polsce, oczywiście, mistrzów tak wysokiej miary nie mamy. Częściej niż za rapier, chwytają obrońcy katolicyzmu za kłonicę. Sprawniej, niźli argumentem polemicznym, władają oszczerstwem, denuncjacją, lub wreszcie niemniej pobożną anatemą. Nasi zapaśnicy katolicyzmu nie kuszą się o to, by przeciwników przekonać lub pokonać: chcą ich poprostu, dla świętego spokuju — wytępić: to jest walczą z nimi tak, jak walczy z człowiekiem... cholera albo mór.

3.

Gdzież więc są owi katolicy autentyczni, nie podrabiani, katolicy czyści i zupełni, prawdziwi i doskonali, katolicy twardzi, jak stal, nieugięci jak djament? Gdzież ich szukać?

Śród ludu, po wsiach?... Lecz to znaczyłoby tyleż, co za jednym zamachem zepchnąć katolicyzm do roli poganizmu (*pagani=wieśniacy*), zepchnąć go między rupiecie przeżytków, skazanych na zagładę; uznać, że katolicyzm dzisiaj gnieździć się może jadynie w łupinie ignorancji. To zaś bynajmniej nie świadczyłaby o naszej wierze w życie katolicyzmu; świadczyłoby o naszej wierze w jego agonję.

4.

Ktoby dzisiaj chciał znaleźć katolika śród miljonów masek katolickich, ten szukaćby musiał długo i cierpliwie. Jak Djogenes, w biały dzień wędrujący z latarnią, w poszukiwaniu człowieka, szukałby może napróżno ... jednej katolickiej duszy w tym najbardziej katolickim społeczeństwie. I kto wie, czy zwątpiwszy o wyniku poszukiwań swych, człowiek ów nie wpadłby wreszcie na pomysł, jaki nie postał w głowie Djogenesa: aby samemu stać się katolikiem, zamiast katolików szukać.

5.

Kto wie, czy nie w ten sposób przedstawia się geneza „nawrócenia" na katolicyzm Stanisława Brzozowskiego. Ten umysł, niepohamowaną gnany żądzą ciekawości, chciał się w pewnej chwili przekonać, jak wygląda psychologja żywego katolika: szukał jej w modernistach, w Newmanie, w Loisy'm, w Blondelu, w Murri'm, w Kasprowiczu, Wyspiańskim, w Laberthonniere'ze, nawet w Piusie X — napróżno! Więc zrozpaczony, a ciekawością do żywego dojęty, by poznać choć jednego katolika, sam się stał katolikiem. Tak się pomściła na nim jego przedostatnia ciekawość; przedostatnia, gdyż ostatnią ciekawością jego zapewne być musiała — śmierć.

J. TARCZEWSKI.

Władysław Dawid.

(Wspomnienie pośmiertne).

Pracował do ostatka, nie tyle dla tego, że mógł, lecz że musiał. Wykładał jeszcze niedawno na Kursach Naukowych, ale już głos go zawodził, już słowa więzły mu w gardle, które trawiły suchoty. Musiał przerwać pracę; miał wyjechać i leczyć się, ale już nie zdążył. Dla zdrowia mieszkał w Otwocku, dla pracy zawodowej przyjeżdżał do Warszawy. Śmierć przychwyciła go prawie znienacka tu, w tym mieście, w którym tyle przeżył, przewalczył, przecierpiał. W ostatnich latach spadały na niego klęska za klęską, stracił warsztat swej pracy, pismo, które upadło po wielokrotnych zawieszeniach i wyczerpaniu funduszu; stracił żonę, wierną towarzyszkę pracy, wreszcie zagrożony rokiem więzienia wskutek procesu prasowego,— opuścił Warszawę, jako jeden z wielu rozbitków, których burze ostatniego dziesięciolecia wyrzuciły za kordon. Wrócił po manifeście zeszłorocznym — ale na krótko.

A była epoka w życiu inteligencji warszawskiej, gdy wkoło tego człowieka skupiało się liczne grono pracowników pióra. Za ognisko służyła redakcja *Przeglądu Pedagogicznego* która była naprawdę poważnym posterunkiem dążeń reformatorskich w pedagogji, warsztatem naukowym psychologji wychowawczej — i to w takiej epoce, gdy o żadnych organizacjach czy to nauczycielskich czy naukowych marzyć nie było można.

W tym gnieździe wyhodowały swe siły i zdolności wszystkie te jednostki, które później zaznaczyły się w literaturze pedagogicznej i dały inicjatywę do działalności, rozwijającej się dziś na wiele szerszej lecz już utorowanej drodze. Dawid umiał pracować i wciągać drugich do pracy; — umiał każdą rozwijającą się zdolność zachęcić, podniecić, zaopatrzyć radą i potrzebnym materjałem, a choć zdawało się współpracownikom, że piszą, co chcą, wypowiadają się nieskrępowani zupełnie, jednak ogólny kierunek pozostawał w ręku redaktora, który umiał z indywidualności poszczególnych zorganizować całość, wytworzyć wspólne tło i wspólny ton dla zbiorowej pracy.

W roku 1897 redakcja *Przeglądu pedagogicznego* przeszła w inne ręce, a Dawid — choć nie porzucił swoich specjalnych naukowych prac ani wykładów psychologji, stworzył nowe ognisko, nową placówkę w redakcji nabytego po Wasilewskim *Głosu*.

Inne tu już życie wrzało niż w *Przeglądzie*. Tam spokojni uczeni lub zrównoważeni pedagogowie, tu spotykali się szermierze postępowej myśli, burzyciele filisterskiej spokojności, poddający ostrej i śmiałej krytyce wszystkie zatęchłe, pleśnią czcigodną okryte i kurs w kraju mające konwencjonalne fałsze.

Były to czasy cenzury, czasy przedrewolucyjne; różnice partyjne i programowe dyskusje jeszcze nie rozbiły lewicy społeczeństwa na zwalczające się wzajem obozy. To też spotykali się tam ludzie, których później porozrzucało życie na różne, dość dalekie a czasem przeciwstawne punkty.

Brzozowski, Nałkowski, Kisielewski, Przybyszewski, Nowaczyński, Radliński, Niemojewski, Korczak i wielu — wielu innych przesunęło się przez owo kółko towarzyskie, które ogniskowało się wokół redakcji *Głosu*, chcąc przez wymianę myśli dostarczyć podniety i doprowadzić bujne indywidualności do harmonijnego zespołu.

Dawid górował nad wszystkimi swym chłodnymi, krytycznym umysłem lecz ich nie hamował i nie oblewał zimną wodą.

Nie chodziło mu o ściśle sformułowany i zaprotokułowany program pisma, lecz o budzenie myśli, życia, inicjatywy wśród przymusowej martwoty naszego obezwładnionego społeczeństwa.

A wśród tych burz, walk, niepewności nieustannej i chronicznych przełomów —Dawid pracował ciągle, pracował bez wytchnienia, studjował, obce dzieła tłomaczył, własne przygotowywał do druku, i wykładał, wygłaszał odczyty, wreszcie wydał swe największe dzieło *Inteligencja, wola i zdolność do pracy*.

Milczeniem niezmąconem przyjęła prasa pojawienie się tej książki, która nawet dla bardzo bogatej literatury naukowej byłaby niepowszednim nabytkiem. Prócz *Prawdy*, która zamieściła o niej dłuższy referat — zdaje się, że żadne z pism tygodniowych nie poleciło jej uwadze czytelników. Nie można zresztą obwiniać nikogo; u nas każdy wydawca troszczy się tylko o rozpowszechnienie własnych nakładów, a Dawid, gdy tę książkę drukował, nie miał już w ręku żadnych narzędzi reklamy, nie miał nawet oparcia i gruntu pod nogami.

Ale czyż to jemu jednemu tylko życie szło po grudzie i kamieniach? Z dawnych towarzyszy pracy, z *Przeglądu pedagogicznego*, *Głosu* — niejeden już przed nim w tę niepowrotną drogę poszedł równie sterany, strudzony lub rozbity: Brzozowski, Nałkowski, Mahrburg.

Dawid już nie żyje; nad jego grobem umilkną zapewne już wszystkie urazy, niechęci, uprzedzenia, nieuniknione w życiu człowieka, który idzie swoją drogą na przebój.

CZESŁAW JANKOWSKI.

O intensywnej polityce narodowej.

Z CYKLU: «WSKAZANIA»

III.

Pod tytułem „Polacy i polskość na Litwie i Rusi“ wydał świeżo p. E. Maliszewski broszurę, na pozór, nader suggestyjną. Wykazuje w niej p. Maliszewski czarne na białem, że — łącznie z niewielką grupą włościan-*Polaków* siedzących na ziemiach nadziałowych w gub. wileńskiej i grodzieńskiej — wciąż jeszcze jest obecnie Polaków na Litwie i Rusi ogółem *2.400,000* a zaś ziemi w rękach polskich pozostało tam jeszcze conajmniej *pięć miljonów morgów*.

Imponujące cyfry! Zdolne olśnić zwłaszcza Polaków z Królestwa gdzie 30 — 50 morgowy mająteczek zwie się szumnie „dobrami“. Nic atoli olśniewającego w tych cyfrach nie znajdzie ten, co zżył się ze świadomością, że np. gubernia wileńska jest o 1000 kwadratowych kilometrów.... większa niż Szwajcarja, a że np. gub. mińska mogłaby granicami swemi objąć prawie dwie gubernie wileńskie. W stosunku tedy do ogromnych obszarów dziewięciu guberni, wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, witebskiej, mohilewskiej, wołyńskiej, kijowskiej i podolskiej (co za terytorjum!) cyfra pięciu miljonów morgów (nawet nie dziesięciu) nie jest, doprawdy, — imponującą. Tak zupełnie jak nie zaimponować stałemu mieszkańcowi Białejrusi nawet trzystu tysiącami dziesięcin ordynacji dawidgródzkiej ks. Stanisława Radziwiłła. Że wszelka wogóle terytorjalna statystyka na Litwie i Rusi może dosięgać cyfr gdzieindziej „niebywałych“, miał przeczucie nawet *Goniec* warszawski pisząc swego czasu, że liczba 158,000 dziesięcin utraconych od roku 1905 przez Polaków na Litwie i Rusi, z pewnością jest czterokrotnie mniejsza od rzeczywistej. Niewątpliwie! Przypomnijmy, co pisał w *Gazecie Warszawskiej* p. Mielnicki, wyborny znawca Białejrusi, o ziemi „polskiej“ w gub. witebskiej gdzie przecie jeszcze w 1877 było w polskich rękach przeszło 970,000 dziesięcin. Pisał: „O ile dalej w dotychczasowem tempie będziemy w guberni witebskiej tracili ziemię, to za lat 20 pozostanie już tylko wspomnienie, że tu byli Polacy, mowa polska odzywać się będzie chyba z ust starych dziadów żebrzących pod kościołami, a polskie epitaphia na płytach cmentarnych będą przemawiały tylko echem zmarnowanej przeszłości“. Gorzkie słowa, ale na najautentyczniejszej rzeczywistości ufundowane i dające się zastosować do całego naszego ziemskiego stanu posiadania na całej przestrzeni Litwy i Rusi.

P. Maliszewski szuka oparcia dla swego optymizmu w tem, że Litwa i Ruś nietylko nie są przeludnione ale nawet cierpią na brak ludności (w Królestwie około 100 mieszkańców na kilometr kwadratowy a np. w gub. mińskiej... 29). *Ergo* — konkluduje p. Maliszewski — żywioł polski na Litwie i Rusi ma gdzie rozrastać się i pracować. Czego jak czego ale warsztatu dla pracy i gruntu pod nogami mu nie zabraknie. Zapomniał p. Maliszewski, że równomiernie z rozrastaniem się żywiołu polskiego będą też rozrastały się i wszystkie inne żywioły etnograficzne zaludniające Litwę i Ruś, a będą rozrastały się — szybciej i obficiej....

Jeżeli zaś p. Maliszewski dochodzi do ostatecznego wniosku, że: nie powinno być mowy o żadnej likwidacji polskiego żywiołu na Litwie i Rusi lecz przeciwnie powinna się tam wzmódz tego żywiołu prężność, to należy odpowiedzieć również bez ogródek:

Nikt nie myśli propagować żadnej gwałtownej i ryczałtowej „likwidacji“. Dla tej prostej choćby przyczyny, że nie żyjemy w czasach wędrówki narodów oraz, że wszelki radykalizm przewrotowy ekonomiczny jest, krótko mówiąc, absurdem. Ale — zamiast dotychczasowego pustego łamania rąk nad zmniejszaniem się polskiego stanu posiadania na Litwie i Rusi oraz gołosłownego „stawiania pod pręgierz sprzedawczyków“ należałoby ten naturalny i nieuknikniony objaw, zarówno ekonomicznej jak politycznej natury, skierować na tory — racjonalne. A mianowicie.

Należałoby przedewszystkiem wykreślić ścisłe granice Polski *etnograficznej*; nie cofając się przed uznaniem np. części gubernji suwalskiej za terytorjum etnograficznie — litewskie, a wschodnich dzielnic Galicji za terytorjum etnograficznie — rusińskie, oczywiście godząc się na wszelkie takiego uznania konsekwencje. Należałoby następnie uznać za pożądane a nawet za obowiązek narodowy: *zasilanie Polski etnograficznej wszystkiemi siłami kulturalnemi i kapitalistycznemi wycofywanemi z t. zw. „kresów b: Rzeczypospolitej“* Nie obawiając się „przeludnienia“; nie cofając się wobec wysokich cen wszelkiej nieruchomości, wszelkiego stanu posiadania w granicach Polski etnograficznej. Niebyłaby to zresztą ofiarność bezwzględna. Do jak zawrotnej wysokości może jeszcze podnieść się np. wartość realna warszawskich kamienic, któż zdoła przewidzieć? Zanosi się wcale niedwuznacznie na to, że

Polska etnograficzna, na rubieży germańskiego i słowiańskiego świata, z olbrzymią — w niedalekiej już może przyszłości — Warszawą u pryncypalnego międzynarodowego traktu Paryż-Pekin, stanowić będzie warsztat dla wręcz kolosalnej spółki kapitału i pracy. Zwartość zaś plemienna całej ludności odbije się niewątpliwie na całem życiu duchowem kraju, zasilanego przez możliwą pełnię: twórczości, energji, kultury i zasobności polskiej.

Ten najtreściwszy — z natury rzeczy — zarys realnej polityki narodowej polskiej, polegający nie na rozpraszaniu ale na skupianiu sił, możnaby ująć w ulotny aforyzm, łatwiejszy do zapamiętania, niż szeregi programowych punktów. Brzmiałby ów aforyzm:

Nabycie i utrzymanie w polskich ręku jednej kamienicy w Warszawie jest czynem patrjotycznym, sto razy donioślejszym, niż tkwienie z pełną kabzą i w pełni sił życiowych, albo z resztkami jednej i drugich gdzieś w mińskich błotach, pod kurlandzką granicą, na czernihowskich czarnoziemach, albo gdzieś pod Kołomyją.

Koniec «Cyklu».

OTTO.

Wrażenia.

GUSTAW OLECHOWSKI: «Uświadomiony». Nowele.

Talent G. O. nie jest czytelnikom «Prawdy» obcy.

Jedna z nowel w tomie obecnym zawartych, p. n. «Fetysz» drukowana była w odcinku naszego pisma. Nowela ta jest godną przedstawicielką rodzaju literackiego, uprawianego przez autora. Znamieniem jego twórczości jest pierwiastek bardzo wysoko rozwiniętej samowiedzy w traktowaniu pomysłów. P. O. nie zdaje się bezwolnie na falę wzruszeń, wrażeń, odczuć i uniesień. Jego pióro pozostaje pod ustawiczną kontrolą woli. Nad wolą zaś czuwa ciągle trzeźwy, praktyczny intelekt. Ta czujność sprawia, iż autor, władając niezbyt bogatym zasobem środków artystycznych i jeszcze mniejszą skalą przeżyć duchowych, potrafi czytelnika zaciekawić a zaciekawiwszy utrzymać uwagę jego do końca. Ta zdolność jest tym osobliwsza, że ludzie, przedstawiani przez O. bywają zazwyczaj sztuczni, grają na jednej strunie, i zamiast mózgu, posiadają w czaszkach — tezy, haczyki, kluczyki, kleszczyki oraz inne tym podobne figliki do zadzierzgiwania intrygi powieściowej i rozplątywania tejże.

K. WROCZYŃSKI.

Z poza kurtyny.

TYDZIEŃ TEATRALNY.

Dzieją się nawet w Warszawie — acz zrzadka — rzeczy, o których się przeciętnym znawcom teatralnym nie śniło. Wchodzimy w okres „wielkiego“ repertuaru. Sztuki nie mające nic wspólnego z obrębem aktualności scenicznej, utwory stojące na przeciwnym krańcu dzisiejszej twórczości dramatycznej, rzeczy klasyczne, dostojnie spoczywające w kurzu bibljotek reżyserskich, teatralja, o których kontakcie z współczesnością (vide: „z kasą“) do niedawna mowy być nie mogło, — nagle wchodzą na repertuar już nie *pro honore domus*, lecz jako objekty poważnej, bo dochodowej, miary. I taż sama publiczność o idjosynkrazji której do dzieł klasycznych nikt nie wątpił, taż sama publiczność, starannie unikająca „Lilli Wenedy“ czy „Romea i Julji“ w Teatrze Wielkim, świata nie widząca jakoby po za „Hiszpańskimi muchami“ i „Pannami“, — taż sama publiczność obecnie tłumnie uczęszcza na „Juljusza Cezara“, bywa na „Świętoszku“, bal w zbożnem kompletowem skupieniu asystuje produkcjom historycznych pokazów teatralnych Rydla.

Czemuż przypisać konkretność takiego zjawiska? Przemówiły-ż w tłumach skryte tęsknoty do utworów na wielką miarę? Mająż widzowie warszawscy dosyć fabrykatów molnarowsko-wolffowych?

Być może, że poczęści jedna i druga przyczyna gra rolę, atoli obie razem nie wyprowadziłyby publiczności ze stanu biernych poczuć, gdyby nie stanowcze zerwanie dyrekcji z dotychczasowym szablonem wystawiań utworów klasycznych i nie jawne dążności do twórczej, oryginalnej inscenizacji.

Zasługa to w pierwszym rzędzie „Teatru Polskiego“, imprezy „Cezarowej“, która acz za ostatnie i dosadne słowo szekspirologji wystawowej uważana być nie może, niemniej przeto stanowi *gradus ad Parnasum*. Przykład ten a zwłaszcza jego kasowe skutki, pociągnął za sobą naśladownictwo dyrekcji „pierwszej sceny polskiej“ — i oto poważna sztuka w tym sposobie zatryumfowała na całej linji. Rozmaitości wystawiły „Świętoszka“, pozatym zaś „Królewskiego Jedynaka „pióra Lucjana Rydla, — próbę rwania się do szerszych horyzontów a w każdym razie utwór poprawnej historyczności, harmonją swą stojący znacznie wyżej od rzeczy St. Kozłowskiego i nierównych, nerwowo powyginanych dram i kronik A. Nowaczyńskiego, — ponadto dyrekcja zapowiada „Dziewicę Orleańską“ Szyl-

lera i nosi się z zamiarem wystawieniu „Hamleta“. Nie wątpię, że teatr Polski nie zostanie w tyle, o ile znów naprzód się nie wysunie.

Przechodząc do dokładniejszego omówienia obydwóch nowości „pierwszej sceny“ należy przedewszystkiem zaznaczyć, że panuje w nich dziwna odwrotna proporcjonalność między samą wartością sztuk, a ich wykonaniem. „Królewski jedynak“ utwór o zaletach zaledwie statycznych, pozbawiony natomiast zupełnie wewnętrznej dynamiki dramatycznej, zainterpretowano jaknajstaranniej i najokazalej, — natomiast „Świętoszkowi“ moljerowskiemu ostawiono li wartość literalną, własną — rozmijając się w linji inscenizacyjnej z racjonalnem (z dzisiejszego punktu widzenia) uzewnętrznieniem tego arcytworu stylowej satyrycznej groteski. Zbędna dostojność panowała na scenie, tłumiąc adoracją nie w porę nawet te momenty, które przez żywiołowy grotesk wprost rozsadzają „komedjowość“ poszczególnych sytuacji. Cedzono słowa z moderacją godną pseudoklasycyzmu, starano się każdym ruchem okazać uszanowanie wiekowi sztuki, jak sędziwej matronie: w uroczystej pompie grzebano komedję. A jednak, mimo czci, którą otoczono „Świętoszka“ jak relikwję, sztuka ta żyje. Dość przeczytać egzemplarz by to wyczuć. I wcale nie padań w proch wymaga Arystofanes Francji, lecz zrozumienia jego wieczystej żywotności. Moljer był farsopisarzem w najgłębszym tego słowa znaczeniu, uszanujmyż ducha jego Muzy, a nie nudne tomy roztrząsań uczonych. Grajmy go bez nabożeństwa, poprostu, groteskowo a poważna wartość utworów wyłoni się sama przez się, przenigdy zaś przez najczcigodniejsze w bryłę zakuwanie tego, co nie stężeje, bo wre. A nadewszystko nie rozciągajmy krótkich paru aktów na długość całego wieczoru, rwąc jednolitość nastroju interwalami kwadransowych antraktów. Takie przerwy rozproszą uwagę najwytrwalszego widza.

***

Teatr Nowoczesny jako scena poświęcona utworom jednoaktowym, ogłosił konkurs aktówek. Utwory wyróżnione zanim uzyskały nagrody przejść mają przez próbę ognia rampowego. Do tej pory wystawiono dwie rzeczy: „Korepetytora“ i „Lotnika“. Jeżeli jednoaktówki pozostałe stoją na tejże wysokości co zademonstrowane, — smutny będzie plon konkursu. Sądzę jednak, że wśród 123 sztuk nadesłanych muszą być lepsze, niż powyższe. „Korepetytor“ będąc wytworem ślepo naśladowniczym à la Zapolska, zawiera mimo plagjaty figur „dulszczyzny“ pewien dodatni ferment sceniczny, — „Lotnik“ natomiast bezdarnie tonie w beznadziejnościach pseudo-farsowej maniery.

M. DĄBROWSKA.

W sprawie „Zarania“.

(Odpowiedź na «słów kilka» p. H. Ceysingerówny).

Wolałabym z p. H. Ceysingerówną z rozmaitych względów dyskusji nie toczyć.

Wszelako nie uświadomić sobie różnic które istnieją byłoby schlebianiem tylko polskiej, tak dziś wybujałej obłudzie.

Nie walczyć o swoją *nieosobistą* prawdę, gdy jej urąga ktoś, choćby z pod poblizkiego znaku, byłoby tchórzostwem.

Nie przyjąć walki wydanej i podtrzymywanej byłoby ową wewnętrzną ugodą, o której szkodliwości pisano.

Mówmy sobie prawdę otwarcie i bez lęku.

Szanujmy się, byleby wzajem od siebie nie żądać kompromisów, za które oddaje się pół duszy.

Tak jak walczymy przeciwko kompromisowi z wrogiem.

P. Ceysingerówna broni się przed zarzutem, tyczącym formy artykułu.

Takiego *nie było*. Całym wstępem jej artykułu zajmuję się tylko ze względu na jego treść, na *mniemanie* w niem wyrażone. Co do formy, jest mi ona obojętną.

„Teatrzykowym skrawkiem“ nazywam *treść* wstępu p. Ceysingerówny. Mimo to zostałam pomówiona nieomal o „zmowę“ z potęgami wrogów Polski przeciwko *swobodzie słowa* p. H. Ceysingerówny. Jest to typowe polskie zwalczanie argumentów przez postawienie siebie w świetle skrzywdzenia, — obrona ludzi słabych.

Jest również czysto polskim zwyczajem pomniejszanie argumentów przeciwnika przez tak zw. „osobiste wycieczki“.

Wytwarza się coś w rodzaju argumentacji: „Tak, ale moja babka żyje, a twoja nie“.

Taka argumentacja zakradła się, do art. p. H. C.: — „gdybym ja nie mieszkała stale w Anglji“, to mogłabym wiedzieć i t. d.

Nie sprawy osobistej bronię, więc nie ze względów osobistych prostuję tych zarzutów niedokładność. Chodzi mi o nie, ponieważ ich postawienie usiłuje (bezwiednie, czy wiednie) zmniejszyć niejako wagę mojego dowodzenia.

Tedy: nie mieszkam w Anglji stale. Jestem tu poraz pierwszy w życiu od 6 miesięcy, dla studjów nad kooperacją i innemi zagadnieniami, których badanie potrzebne mi do pracy w Polsce.

Mówiąc o duchu młodzieży Kruszynka, bynajmniej nie miałam na myśli *partyjności*. „Młodzież przejęta duchem Zarania“ — to zna-

czy dla mnie właśnie duchem samodzielności ludowej, twórczego i niekrępowanego życia. I tym lepiej że i „Drużyna“ jest tym duchem przeniknięta. Choć, gdyby słowa, przez p. C. z „Drużyny“ przytoczone drukowane były w „Zaraniu“, któż wie, czy nie dopatrzonoby się w nich „jątrzenia“.

Co do zapomóg rządowych na szkoły elementarne, to w gorączkowem, entuzjastycznem zalecaniu ich widzę istotne niebezpieczeństwo dla psychologji polskiej. Wszelako uważam, że, istnieje pewne minimum ustępstwa, którego dla czystości zasady lepiej byłoby się wyrzec, którego jednak wyrzec się nie jesteśmy w stanie. Mimo wszystko, nie możemy zaprzestać korzystania z poczty państwowej, państwowych kolei i sądów. W tem minimum ja zawieram naukę czytania i pisania w szkole gminnej. Coś, co już dziś nie jest sprawą oświaty, ale tak prymitywnym warunkiem życia w Europie jak np. dom zamiast szałasu. Rzeczą jest społeczeństwa, sprawą jego siły i odpowiedzialności, tę najprymitywniejszą broń życia cywilizowanego przekuć na własny oręż.

Listy „dotychczas najgorliwszych współpracowników *Zarania*, dyskredytujących obecnie to pismo, listy, na które powołuje się p. C. niczego nie dowodzą.

Każda ideja ma swoich odstępców, im większa, tym większych i bardziej krańcowych.

Co do mleczarń zaraniarskich — równie dobrze mogłaby p. H. C. powiedzieć, że współdzielczość Finlandzka w dziedzinie mleczarstwa (trzecia w świecie) nie wiele dokonała, gdyż stworzyła tylko *jedną* eentralną mleczarnie *Valio*, która jest związkiem kilkuset innych. — Taką centralną mleczarnią jest owa warszawska „zaraniarska“ — rzecz prosta minjatura Valio.

Co do mojej „bałamutnej rozprawy“ na temat *ludu* i ludowej jedności: szlachcic-ziemianin nie funduje swojego życia na swej pracy, ale na dochodach, płynących z pracy innych. Równie dobrze, idąc konsekwentnie, moglibyśmy powiedzieć że „do siódmego potu“ pracuje bankier, który musi się dobrze nagłowić, by swe miljony gromadzić. Do któregoż to potu będą w takim razie pracowali najniżsi jego kanceliści, lub najemnicy szlachcica-ziemianina? Chodzi nie o pot, lecz o to, jaką postać będzie miała w rezultacie owej pracy pomyślność społeczności.

Uważam, że *nie na pracy* funduje życie swe ten, kto jego punkt ciężkości zasadniczy opiera na *pracy najemnej*.

Inna jest rzecz, że między bankierami i szlachtą są ludzie, którzy przezwyciężają swe stanowisko klasowe. To ci, co wyzysk pracy najemnej, z której korzystają, sprowadzają do możliwego w dzisiejszych warunkach minimum i którzy w konflikcie pracy z kapitałem prywatnym na stanowisku pracy stoją.

Wogóle jestem daleką od wszelkich nienawiści klasowej lub partyjnej.

Dwa dziś widzę odłamy w społeczeństwie polskiem, oba głoszące bezpartyjność. Jeden — to ugoda z teraźniejszością, drugi — walka z nią. Nie przypadek, ale siła rzeczy zrządziła, że w tym drugim odłamie znaleźli się wszyscy ci którzy *są ludem*, znaleźli się tam bez względu na przekonaniowe odcienie. W odłamie pierwszym znalazł się ogół plutokracji miejskiej i ziemskiej.

Zaranie ma za sobą tradycję podjęcia nieulękłej walki z realistami i N. D. — i do dziś na płaszczyźnie tej walki stoi. — Stwierdza to fakt, że w zgodzie jest z wszystkiemi pismami, zwalczającymi ugodę.

Na zobrazowanie mego o siewcach nienawiści twierdzenia nie przytaczałam „zasłyszanych tu i owdzie anegdot“ ani „utworów fantazji“, ale wiadome mi i przezemnie przeżyte fakty z życia.

Zgadzam się p. H. Ceysingerówną, że praca *Zarania* uderza czasem w próżnię, że jest jak ona się wyraziła „bezprzedmiotowa“.

Ta praca, te wysiłki jednak o tyle tylko uderzają w próżnię — o tyle dzwonem są w watę owiniętym — o ile jest nim każda nasza praca. Każdy nasz polski wysiłek jest jakby mozolnem zbieraniem polskich złotych, które dziś kursu nie mają ani państwowej sankcji — a chciwość jeno budzą i zaborczość jako kruszec. —

A jednak zbierajmy, i kruszec naszej biednej pracy przekuwajmy w ogniu na inny, twardszy — hartowniejszy i kres kładący zachłannym uroszczeniom.

Dyskusja nasza uświadomiła mi wiele.

Stężało moje przekonanie, jak mocno stać należy przy ludowym sztandarze, jak strzec go i wzmacniać mury jego prawdy. Jak nie lękać się i nie chwiać pod naporem zarzutów, bo jedno mgnienie słabości nie tylko ośmiela ale tworzy przeciwników. I jak *każdy*, kto w ruchu tym ludowym stoi, budowę jego coraz wyżej wznosić winien na własnych ramionach i własną czcią czystości jego bronić.

Sz. Abonentom, zalegającym w przedpłacie, przypominamy o uiszczenie należności za rok bieżący.

Książki nadesłane do Redakcji.

Marjan Dubiecki: «Na kresach i za kresami». Wspomnienia i szkice. Kijów, 1914. Warszawa Nakład księgarni Leona Idzikowskiego, Marszałkowska 119. Str. 254.

Marja Grossek «Medytacje» Studja współczesności. Anioł wojujący. Tom I i II Str. XVI+352+110. Kraków Gebethner i Sp. 1914.

Elzenberg-Zlasnowska: «Juljusz Słowacki». Sceny z życia poety, w pięciu aktach. Warszawa, 1914. Nakład kasy przezorności i pomocy Warszawskich pomocników księgarskich, Str. 100.

Stanisław Ohlas: «Janek». Baśń historyczna Warszawa, 1914. Str. 264. Skład główny w księgarni K. Idzikowskiego, Nowy-Świat 21.

Ignacy Baranowski: «Wieś i Folwark». Studja z dziejów agrarnych Polski. Nakład księgarni W. Jakowickiego. Warszawa, 1914, Str. 300.

Zenon Pietkiewicz: «Ognlwa» Myśli o naszej teraźniejszości. Warszawa 1914. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, Str. 190.

Stanisław Kordaszewski: «Dzieje dawniejsze miasta Ostroga» Materjały do historji Wołynia. Z przedmową Al. Jabłonowskiego, oraz życiorysem autora przez Henryka Mościckiego. Skład główny: Gebethner i Wolff, Warszawa, Str. 290.

SPROSTOWANIE.

W n-rze zeszłym «Prawdy» zaszła pomyłka w nazwisku autora artykułu «Polskie wystawy za granicą». Miast *J. Szwejcer* winno być *Jerzy Szwajcer*.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Zdumiewająco pomyślne wyniki przy leczeniu zasłabnięć nerwowych.

Niewielu ludzi zna istotną przyczynę swych cierpień, nie każdy zaś wie, iż wszelkie męczarnie powstają na gruncie osłabienia lub rozstroju systemu nerwowego. System nerwowy składa się głównie z mózgu i mlecza pacierzowego, z których z kolei rozgałęziają się po całym organizmie włókna nerwowe, tak iż mózg i mlecz pacierzowy stanowią ośrodki całego systemu nerwowego. Istotnej zatem przyczyny choroby szukać należy nie w dotkniętem nią miejscu organizmu, lecz w centrum systemu nerwowego. Objawy tego rodzaju zasłabnięć są najrozmaitsze, mianowicie: bóle głowy, drgawki, bóle krzyża, twarzy, gardła, stawów, ćmienie w oczach, bicie serca, bezsenność, ciężkie sny i zmory senne, zawroty głowy, niepokój, tętnienie w żyłach, odpływ krwi z członków, drżenie rąk i kolan przy najlżejszym wzruszeniu, szum w uszach, niemoc płciowa, lękliwość, pijaństwo i inne. Głównymi sprawcami chorób nerwowych są: przemęczenie lub nieprawidłowe odżywianie systemu nerwowego. Do usunięcia tych przyczyn istnieją dwie drogi: bezwzględny spokój lub też wzmocnienie nerwów za pomocą materjałów odżywczych. Najradykalniejszem byłoby korzystanie zarówno z jednej drogi, jak i z drugiej, lecz rzadko się to komuś udaje. Brom, kawa, alkohol i t. p.—tylko chwilowo uspakajają lub podniecają nerwy, zaś przy dłuższem używaniu więcej przynoszą szkody, niźli pożytku. Do prawidłowego rozwoju wątłej roślinki i dla uczynienia jej płodną — jest rzeczą niezbędną — dostarczenie jej gleby, użyźnionej odpowiedniemi materjałami, tak ma się rzecz i z nerwami. Najlepszym pokarmem do odżywiania ich jest— dostarczenie znacznej ilości odpowiednich materjałów. Materjały te nie są niczem innem, jak fosforokwaśnemi związkami organicznymi, z których powiodło się d-rowi Hartmanowi tworzyć preparat odżywczy, Kordjalinę, w dogodnej do przyjmowania postaci.

O tem, że środek ten w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu, wzmacniania nerwów bez pobudzenia tychże, świadczy mnóstwo głosów dziękczynnych zarówno ze strony lekarzy jak i osób, które się przekonały o jego skuteczności. Jakiego zdania o naszym środku są lekarze świadczy o tem list, nadesłany nam z klasztoru Karmelitów św. Piotra: „Prosimy o nadesłanie nam jeszcze 6 pudełek „Kordjaliny“, gdyż lekarz nasz domowy środek ten bardzo chwali i zaleca dalsze używanie go“.

Tysiące tej treści odezw zmusiły nas do wydania całej książki, w najwyższym stopniu interesującej wszystkich cierpiących na nerwy. Proponujemy W. P. wypróbowanie środka naszego zupełnie bezpłatnie, jedynie przez powołanie się na niniejszy artykuł. Na zapytanie W. P. kartą pocztową wyślemy bezpłatnie pudełko próbne tego leczniczego środka, prosimy jedynie o podanie adresu swego wyraźnie. Należy pisać bez najmniejszej zwłoki, gdyż wyczerpanie nerwowe może pociągnąć za sobą bardzo poważne powikłania — pod adresem: D-r K. Hartman, № 736, St. Petersburg, Wozniesienskij Prospekt № 57.

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**
Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.